

**HENRYK
SIENKIEWICZ**

NA MARNE

Henryk Sienkiewicz

Na marne

«Public Domain»

Sienkiewicz H.

Na marne / H. Sienkiewicz — «Public Domain»,

Józef Szwarc po śmierci ojca przyjeżdża do Kijowa na studia. Już pierwszego dnia udaje mu się poznać studenckie realia — spotyka dawnego kolegę, Gustawa, z którym zamieszkuje i który zaprzyjaźnia go z innymi żakami. Po pewnym czasie Józef wybiera ostatecznie swoją drogę kształcenia — medycynę. Gustaw niebawem przedstawi go również swojej przyjaciółce, Helenie. To młoda kobieta, bardzo doświadczona przez los — nie tak dawno doświadczyła śmierci męża i małego dziecka. Gustaw jest w niej nieszczęśliwie zakochany, ale śmierć rodziny nie pozwala wdowie zwrócić na niego uwagę. Jej zainteresowanie budzi jednak Józef, w którym dostrzega pewne podobieństwo do zmarłego męża. To jednak dopiero pierwsza z kobiet uwikłanych w historię. . . Na marne to pierwsza wydana powieść autorstwa Henryka Sienkiewicza. Pisarz pracował nad nią od 1868 roku, publikacji doczekała się w 1872. Początkowo ukazywała się w „Wieńcu”. W swoim dziele Sienkiewicz ukazuje relacje młodych ludzi w nowym otoczeniu i ich próby sprostania nowym wyzwaniom, stawianym im przez życie.

© Sienkiewicz H.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	13
III	16
IV	21
Конец ознакомительного фрагмента.	22

Henryk Sienkiewicz

Na marne

I

– Otóż i Kijów!

Tak mówił do siebie młody człowiek, nazwiskiem Józef Szwarz, wjeżdżając do starożytnego miasta, gdy rozbudzony formalnościami rogatkowemi, ujrzał się niespodzianie wśród ulic i zabudowań miejskich.

Serce zadrgało mu radośnie: był młody, darł się do życia, więc też wciągał w szerokie płuca, ile mógł, świeżego powietrza i z wesołym uśmiechem powtórzył:

– Otóż i Kijów!

Buda żydowska toczyła się z wolna, podskakując na wystających kamieniach. Szwarzowi sprzykrzyło się siedzieć w niej pod przykryciem z płótna, kazał tedy żydowi skierować do najbliższego zajazdu, a sam szedł obok piechotę.

Potoki ludzi, jak zwykle w mieście, płynęły w rozmaite strony, sklepy błyszcząły wystawą, powozy mijaly się jedne z drugimi, kupcy, generałowie, żołnierze, żebracy, mnisi, snuli się przed oczyma Szwarca. Dzień był handlowy, miasto więc przybrało typowy widok tego rodzaju zbiorowisk. Tu nic nie było na darmo: żaden ruch, żadne słowo nie zdawało się być zmarnowane. Kupiec za handlem, urzędnik za urzędem, złodziej za oszustwem – wszystko goniło przed siebie z jakimś wyraźnym celem, wszystko pchało przed siebie życie, myśląc o jutrze, dążąc do czegoś... a po nad tym gwarem i ruchem unosiła się atmosfera gorąca i słońce zarówno odbijało się w błyszczących szybach gmachów, jak w pierwszym lepszym okienku.

– A to zawierucha! – myślał Szwarz, który nie był nigdy w Kijowie, ani w żadnym większym mieście. – To życie!

I zadumał się nad szaloną różnicą między ciasnym życiem w małym miasteczku, a szeroką sceną działania w wielkim, gdy w tem z zadumy wyrwał go znany dobrze głos:

– Dalibóg Józef!

Szwarz obejrzał się, popatrzał kilka chwil na człowieka, który go nazwał po imieniu, wreszcie roztworzył szeroko ręce i zawołał:

– Dalibóg Gustaw!

Gustaw był to mały i chudy mężczyzna, lat około dwudziestu trzech; długie włosy, kasztanowatego koloru, spadały mu prawie do ramion, krótkie rude wąsy, obcięte równo z ustami, czyniły go na pozór starszym, niż był w istocie.

– Cóż porabiasz, Józiu? Dlaczegoś przyjechał? Do uniwersytetu? Nieprawdaż?

– Tak.

– Dobrze robisz. Nędzne bo to życie bez nauki – mówił, sapiąc Gustaw. – Na jakim fakultet myślisz chodzić, hę?

– Nie wiem jeszcze, zobaczą – wybiorę.

– Namysł się dobrze. Ja tu już rok jestem, to się mogłem rozpatrzeć. Wielu żałuje zawczesnego wyboru, ale coź robić potem? Wracać się za późno, iść naprzód nie ma sił. Łatwiej zrobić głupstwo, niż je naprawić. Jutro zaprowadzę cię do uniwersytetu; tymczasem, jeśli nie masz mieszkania, kaź znieść rzeczy do mnie. Mieszkam niedaleko. Możesz odemnie zacząć; jak ci się naprzykrzę, poszukasz sobie innego kolegi.

Szwarz przyjął propozycję Gustawa i za chwil kilka byli już w małej studenckiej izdebce.

– Hę, dawnośmy się nie widzieli; rok jak skończyliśmy szkoły – mówił Gustaw, ustawiając kuferek i zawiniątko Szwarca. – Rok, kawał czasu. Cóżeś robił przez ten cały rok?

– Siedziałem u ojca, który mi nie pozwalał iść do uniwersytetu.

– A cóż mu to szkodziło?

– Człowiek był dobry, ale prosty – kował.

– A cóż teraz pozwolił?

– Umarł.

– Dobrze zrobił – mówił, kaszłac Gustaw. – Przekłeta astma! dręczy mnie od pół roku. Dziwisz się, że sapię?... Będiesz i ty sapał, gdy posiedzisz nad książkami tak, jak ja. Z dnia na dzień, ani chwili spoczynku. A i z biedą gryź się, jak pies z psem... Pieniądze masz?

– Mam, sprzedałem domostwo po ojcu: mam dwa tysiące rubli.

– Setnie!... To ci wystarczy. Mnie bieda! przekłeta astma!... Oj, tak! Trzeba się uczyć! Zaledwie wieczorem trochę odetchnienia; dzień na prelekcjach, noc na robocie... Ani się przespać! To u nas! Jak wejdiesz w nasze życie, zobaczysz, co to uniwersytet! Dziś cię zaprowadzę do klubu, albo po prostu – knajpy, trzeba się zapoznać z kolegami: dziś zaraz pójdziesz tam ze mną.

Gustaw bez przerwy kręcił się po pokoju, sapiąc i pokaszłując. Patrząc na jego zgarbione plecy, zapadła twarz i długie włosy, możnaby go wziąć za człowieka zmęczonego wesołym życiem, nie pracą; ale stosy książek i zapisanych papierów, ubóstwo w urządzeniu izby, aż nadto świadczyły, że gospodarz należał do owego rodzaju nocnych ptaków, co więdną zgarbieni nad książką i umierają z myślą o kreskowaniu lub niekreskowaniu jakiejś litery.

Szwarc jednak oddychał pełną piersią atmosferą izdebki; był to dla niego świat nowy i odrębny zarazem. Kto wie – dumiał – jakie myśli tryskają z tych głów, mieszkających na czwartych piętach? kto wie, jaką przyszłość gotują nauce takie poddasza?

– Poznasz dziś jeszcze wielu z naszych – mówił Gustaw, wyciągając z pod łóżka samowar o jednej nodze i podstawiając pod niego dla równowagi stłuczony garnek. – Niech cię nie zraza ten wieczór – ciągnął, sypiąc węgle do samowara – zrobię herbaty... niech cię nie rażą te szalone po części głowy. Jak się rozejrzysz w mieście, poznasz, że i tu głupców nie brak, ale są i tęgie głowy. Zresztą, zobaczysz. Życie to nasze trochę sztuczne, trochę szalone, ale idzie naprzód niemałym krokiem. Oryginałów nie brak, chociaż i bezbarwności pełno czczej, śmiesznej i najgłupszej ze wszystkich głupot. W jednych głowach się pali, a w drugich ciemno – ot, jak teraz na dworze.

Przez chwilę cisza panowała w izbie, słychać tylko było sapanie i dmuchanie w samowar Gustawa. Rzeczywiście, wieczór powoli zapadał, na ściany i podłogę izby padał mrok coraz większy; ogniste kółko, odbite z samowara na podłodze, zwiększało się lub gasło w miarę, jak Gustaw dmuchał, wreszcie woda zaczęła szumieć, sykać i pryskać, Gustaw zapalił świecę.

– Masz tu herbatę. Pójdę na lekcję – mówił dalej – ty poczekaj tu na mnie, najlepiej prześpij się na moim łóżku. Jak wydasz pieniądze, musisz i ty postarać się o lekcje. Nudna to rzecz, ale cóż robić? Jest przytem przykra strona życia studenckiego, ale co tam ci naprzód mówić! Nasz świat i reszta świata, to rzecz zupełnie odrębna. Ani nas tu lubią, ani przyjmują i kłócimy się ze wszystkimi, nawet ze sobą... Trudne życie! Jak zachorujesz, jeśli nie kolega, nikt ręki nie poda – to los nas ubogich. Ba, zresztą gniewa ludzi, że my komedii nie gramy, że nazywamy rzeczy po prostu.

– Czarno rzeczy widzisz – zauważył Szwarc.

– Czarno czy nie czarno – odrzekł z goryczą Gustaw – zobaczysz. A ja ci powiadam, że nie na różach będziesz sypiał... Młodość ma swoje prawa, swoje wymagania. Z tych praw i z tych wymagań w oczy ci się roześmieją, powiedzą, żeś niedowarzony, nazwą egzaltacją. A tobie dyabli do tego, jak się to nazywa, kiedy cię to pali lub boli... Zresztą, zobaczysz... Nalej sobie herbaty i połóż się spać – za godzinę wrócę, a teraz daj mi tam czapkę i bywaj zdrów.

Przez chwilę słychać było jeszcze sapanie i kroki Gustawa na schodach. Szwarc został sam.

Słowa Gustawa dziwne na nim zrobiły wrażenie. Szwarc pamiętał go innym: dziś w głosie jego brzmiała jakaś zrzędność i zniechęcenie, jakiś ponury nastrój umysłu przebijał się przez te słowa nawpół porwane, nawpół smutne. Dawniej był zdrów na umyśle i ciele, dziś oddychał z trudnością, w mowie i ruchach jego była dziwna gorączkowość, jak u człowieka, który się wyczerpał.

– Czy go tak już zmęczyło życie? – myślał Szwarc. – Więc to tu trzeba walczyć, trzeba iść przeciw prądowi trochę, a ten biedak widać sił nie miał. Tu trzeba zwyciężyć! Widać, świat nie nazbyt lekką dłońią spoczywa na nas. Do licha, to tu nie łatwa sprawa... Gustaw coś bardzo mizantrop, musiał nieźle osmalić piórka. Ależ on tu nie próżnuje, więc jeszcze idzie naprzód. Może to tylko skorupa ta mizantropia, pod którą wygodniej i bezpieczniej?... Ale jeśli rzeczywiście trzeba iść na przebój lub zginąć? ha!... to pójdę! – zawołał z mocą młody człowiek, lubo w tym wykrzykniku więcej było stanowczości, niż zapału.

W godzinę po owym monologu sapanie znowu dało się słyszeć na schodach i w tej chwili wszedł, a raczej wsunął się Gustaw.

– No, dalej za mną! – zawołał. Stoisz w przedsionku wiru studenckiego życia; dziś zobaczysz jego stronę weselszą. A nie trać czasu!

Mówiąc to, kręcił czapkę w rękę i rzucał oczyma na wszystkie strony, potem przysunął się do stolika i, wydobywszy z niego grzebień, począł czesać swe długie, płowego, a raczej wypłowiałego koloru włosy.

Wreszcie wyszli na ulicę.

W Kijowie naówczas były knajpy, gdzie zbierali się studenci. Okoliczności istniały takie, że nie można było żyć z całym miejscowym towarzystwem. Już to tam owe różne koterye miejskie niechętnie u siebie widziały młodzież, którą dopiero przyszłość miała wyrobić na ludzi. Z jednej strony brak statku, gwałtowność słowa, buta i inne przyrodzone zwykle młodości cechy, nie bardzo chciały się giąć do form towarzyskich; z drugiej, prowincya dostarczała swojskiego żywienia tylko w czasie zimy lub kontraktów; – jakoś więc uniwersytet zawiązał się w ciało zamknięte w sobie, żyjące życiem książkowym w dzień, klubowym w nocy. Z wielu nawet powodów było to więcej dobrze, niż źle, bo jakkolwiek młodzież wychodziła nieotarta w świecie, za to żartka i do czynów pochopna; ludzi znudzonych i przeżytych między niemi, tak jakby, nie bywało.

Nasi znajomi przeszli szybko środek ulicy, kierując się ku oświetlonym oknom klubowego domu. Po pod światło księżycowe można było odróżnić szeroką i silną postać Szwarca, obok zgarbionych pleców i wielkiej głowy Gustawa. Ten ostatni biegł nieco naprzód, rozmawiając z Józefem lub z sobą na przemiany; następnie zatrzymał się pod oknem, a ujawszy się za gzymsy i podciągnawszy w górę, jał pilnie rozpatrywać wewnątrz kawiarni; wreszcie spuścił się na dół i, otarłszy kolana z wapna, zawołał:

– Nie ma.

– Kogo?

– Albo już była, albo wcale nie przyjdzie.

– Kto taki?

– Która godzina?

– Po 10-jej. Kogo upatrywałeś przez okno?

– Wdowy.

– Wdowy? któż to jest?

– Boję się, czy nie chora.

– Znajoma twoja?

– Oczywiście. Gdybym jej nie znał, tobym się nią nie zajmował.

– No, to jasne – odpowiedział Szwarc; chodźmy.

Przycisnął klamkę drzwi: weszli.

Gorąca a dymna atmosfera owiała ich. W perspektywie wnętrza sali widniały różnego wieku twarze, po części obce dla Szwarca. Między kłębami dymu, zaciemniającemi światło kinkietów i wybuchami śmiechu, błąkały się tony fortepianu, jakby zmęczone a niedbałe; wtórowała im gitara, na której od czasu do czasu brzdąkał wysoki, chudy młodzieniec, z przyciętymi przy samej skórze włosami i szramą na twarzy. Długimi palcami bałamucił po strunach, a wielkie niebieskie oczy utopił w pułap, utonawszy w zamyśleniu. Ten, który siedział przy fortepianie, ledwo wyszedł z

dzieciństwa; cerę miał mleczną, włosy ciemne, zgarnięte ku tyłowi głowy, słodycz w czerwonych ustach, a smutek w oczach; był delikatny i wątłej budowy ciała a urodziwy. Widać, grał tu oddawna, bo już czerwone plamy na obu policzkach zwiastowały w nim wielkie zmęczenie. Tyłem do światła stało kilku Pińczuków, a wszystko chłopcy jak dęby, a tak przytem chciwe na wszelaką gęźbę, że byle zagrano w klubie, obstępowali w koło grającego i ze zwieszonymi głowami słuchali muzyki, wzdychając lub radując się z nią razem. Inna młodzież siedziała na ławkach lub krzesłach; kilka młodych dziewcząt z rodzaju koników polnych, prześpiewujących lato, kręciło się tu i owdzie. Było gwarno; gdzieś niegdzie brzękły kufle. W alkierzu obok sali grano zapamiętałe w karty, a przez nawpół przytwarte drzwi widać było twarz jednego z grających: zapalał w tej chwili cygaro od stojącej na rogu stołu świecy, a przytłumiony lub wznoszący się chwilowo płomień oblewał od czasu do czasu ostre jego rysy. Bufetowa z doskonałą obojętnością przypatrywała się pod światło końcowi pióra, którym zapisywała dzienne wydatki; obok na stołku drzemała z cudowną równowagą jej pomocnica, a kot, siedzący na rogu stołu, otwierał czasami oczy i zamykał je z wyrazem godności i filozoficznego spokoju.

Szwarc obrzucił wzrokiem zgromadzenie.

– Ho! jak się masz Szwarc? – odezwało się kilka głosów.

– Dobrze. Jak się wy macie.

– Do nas na stałe?

– Na stałe.

– Przedstawiam go jako członka szanownego zgromadzenia klubowego. Ty zaś, wiedz raz na zawsze obowiązki: przychodzić tu codziennie; przywileje: nie wysypiać się nigdy po ludzku – chrypał Gustaw.

– Jako członka? tem lepiej! Zaraz tu usłyszysz mowę... Hej tam, Augustynowicz, zaczynaj!

Z drugiego pokoju, w którym grali w karty, wyszedł młody człowiek o przygarbionych plecach i prawie tysej głowie. Wyglądał szpetnie, rzucił czapkę na stół i, siadłszy na krześle, tak mówić zaczął:

„Panowie! Jeżeli nie będziecie cicho, zacznę mówić uczenie, a wiem, moi drodzy, że nie ma nic dla was równie obmierzłego, jak wszelka uczoneść. Wreszcie, na Jowisza! przyzwyczajacie się do życia parlamentarnego. Co to jest? Słyszę hałas? Cicho mi, cicho! Zaczynam mówić uczenie!”

Jakoż, pod wpływem groźby, chwilę zapanowała cisza; mówca spogląda tryumfalnie i mówi:

„Panowie! Jeśli zebraliśmy się tutaj, to nie na to, aby w samym tylko spoczynku szukać wspomnienia chwil przykrych (bardzo dobrze!). Powie mi ktoś, że zbieramy się tu codzień (bardzo dobrze!). Wszak ja tu codzień przychodzę i wcale tego zaprzeczać nie myślę – nie zaprzeczycie także, że dziś jestem! (oklaski; mówca promienieje i mówi dalej): Cicho! Jeślibym miał sądzić, że wszelkie moje usiłowania w celu nadania celowości naszym zebraniom, odbite od lekkomyślności ogólnej, bo mogę ją nazwać ogólną (można! można!), niekierowane prądem zgody powszechnej, rozdrabniając w samym nawet zbiorze (uważcie panowie: w zbiorze) jednolite usiłowania pojedynczych, jeżeli dążności, oznamionowane prawidłowym celem zjednoczenia luźnych myśli w jakąś organiczną całość, nie zejda nigdy z pola marzeń na realniejsze pole działania, tedy ja pierwszy, panowie, a ręczę, że i wielu innych ze mną zgodzi się na zaprzeczenie sensu dotychczasowemu sposobowi naszego bytu, (oklaski!) i przedsięwzięnie inne środki (tak! tak!), obowiązujące, jeżeli już nie wszystkich, to wybranych” (oklaski).

– Co to znaczy? – spytał Szwarc.

Gustaw ruszył ramionami.

– Mowa.

– W jakim celu?

– Ale cóż to kogo obchodzi!

– Co to za jeden?

– Nazywa się Augustynowicz. To dobra głowa, ale w tej chwili jest pijany, słowa mu się płaczą: wie jednak, czego chce i dalibóg ma rację!

– Czegóż chce?
– Żebyśmy się tu daremnie nie schodzili, żeby zebrania nasze miały jakiś cel, ale śmieją się i z celu i z mowy. Zresztą, z konieczności pociągnęłoby to za sobą rozbrat ze swobodą i spoczynkiem, które dotychczas w tych zebraniach panowały.

– A jakież cel chce im nadać Augustynowicz?

– Literacki, naukowy.

– Dobrzeby było.

– Powiedziałem, że ma rację i gdyby kto inny proponował, rzeczby może przeszła.

– No, a on?

– Na wszystkim, czego się dotknie, zostawia ślady własnej śmieszności i poniżenia. Strzeż się Szwarz! tyś wprawdzie w niczem, ile cię znam, do niego niepodobny, ale tu każdemu nie w ten, to w inny sposób noga może się pośliznąć...

Gustaw powiódł zamglonemi oczyma po Augustynowiczu, ruszył ramionami i mówił dalej:

– Dziwnie się los składał na tego człowieka. Mówiłem ci: to zbiór wszelkich zdolności a małego charakteru, wyniosłych chęci a nędznych czynów – wieczny rozbrat! Niema w nim żadnej równowagi między żądaniem a siłą, dlatego marnuje się.

Tymczasem zbliżyło się kilku znajomych Szwarca; przy kuflu pogawędka stała się ogólną. Szwarz wypytywał o uniwersytet.

– Żyjecie wszyscy razem?

– Niepodobna – odrzekł jeden z Litwinów. – Masz tu ludzi z najróżniejszymi pojęciami, stąd i różne koterye.

– To źle.

– Nieprawda! Przypuszczam jedność jakichś wyższych celów; jedność w pozyciu koleżeńskim jest niemożliwa, dlatego na nic się nie przyda starać się o nią.

– A niemieckie uniwersytety?

– I tam masz ferajny, żyjące tylko w sobie. Życie uczuć i myśli, przynajmniej u nas, winno być zgodne z praktycznym, dlatego różność pierwszego rodzi różność w drugim.

– Nigdy się więc nie łączycie?

– To znowu co innego. Łączymy się w interesie uniwersyteckim, lub obchodzącym wszystkich. Zresztą, myślę, że sprzeczności, jakie tu napotkasz, dowodzą naszej żywotności; to znak, że żyjemy, czujemy i myślimy. W tem nasza jedność, to, co nas rozdziela, łączy nas.

– Pod jaka tedy chorągwią wy stoicie?

– Pracy i biedy. My nie mamy swojego nazwiska. Chłopomani zwą nas piekarczykami.

– Co?

– A tak. Życie cię nauczy, co to jest. Każdy z nas stara się zamieszkać tam, gdzie piekarz, zaznajomić się z nim i wyrabiać sobie kredyt. To nasz sposób; zaufanie mamy. Większość z nas nie jada nic ciepłego, ale bułek na kredyt dostaniesz tak długo, jak zechcesz.

– To wesoło!

– A wesoło. Prócz naszej koteryi, nie mającej węzłów zbyt ścisłych, masz tu chłopomanów; założył ich i sformował Antoniewicz, prowadzili czasowo Rylski i Stępkowski, ale dziś to są już głupcy, którzy nie wiedzą, czego chcą; mówią po małorusku i piją prostą wódkę – oto wszystko.

– A więcej jakież są koterye?

– Jasno określonych nie ma więcej, ale są rozmaite odcienie. Jednych łączy wspólność idei naukowych, drugich wspólność towarzyskiego stanowiska. Masz tu demokratów, arystokratów, liberalnych, ultramontanów, wreszcie hultajów, kobieciarzy, próżniaków, jeżeli chcesz, i nakoniec zagorzałych pracowników.

– Kto tu uchodzi za najtęższą głowę?

– Między studentami?

– Tak.

– Stosownie do fachu. Mówią niektórzy, że Augustynowicz umie wiele – ja dodam, że niedobrze. Ścisłą, jednolitą pracą i nauką odznacza się Gustaw.

– Aa!

– Tylko, że rozmaicie o nim mówią. Niektórzy go nie cierpią. Mieszkając z nim razem, ocenisz go najlepiej... Albo, na przykład, stosunek jego do wdowy? Ot, egzaltowana sztuka! inny nie takby sobie postępował. Prawda, że z nią dziś niełatwo.

– Słyszałem mówiącego o niej Gustawa; powiedz-że mi raz przecie, co to za jedna?

– Jest to młoda osoba, znajoma nas wszystkich. Smutne przechodziła koleje. Kochała dawniej Potkańskiego, jurystę, a kochała go podobno szalenie. Ja tam już nie pamiętam tych czasów, Potkańskiego pamiętam jednak. Był to chłopiec zdolny, ogromnie bogaty i pracowity; był w swoim czasie bożyszczem kolegów. Jakim sposobem poznał wdowę, nie wiem, różnie mówiono; to tylko pewna, że kochali się do upadłego. Ona nie miała wówczas więcej nad ośmnaście lat. Nakoniec, Potkański postanowił się z nią ożenić! Co wyrabiała jego rodzina, by temu przeszkodzić, trudno opisać, ale Potkański, energiczna sztuka, postawił na swoim i wziął z nią ślub, mimo wszelkich przeszkód. Żyli z sobą rok jeszcze. Raptem on zapadł na tyfus i umarł, pozostawiając ją tak, jak na bruku, bo majątek zabrała rodzina. Dziecię już żyjące, umarło także wkrótce, ona została sama i gdyby nie Gustaw, to – ot, zmarniałaby ze szczętem.

– Cóż Gustaw?

– Cudów dokazywał. Z nędznymi środkami pozywał Potkańskich – Bóg wie, czy byłby sprawę wygrał, bo to rodzina magnacka, tyle jednak zrobił, że, chcąc uniknąć skandalu, obowiązali się wypłacać wdowie jakąś szczupłą pensję do śmierci.

– Dzielnie się spisał.

– Ba, ba! Niech go, co za energia! A pamiętaj, że był wtedy pierwszy rok na uniwersytecie, bez znajomych, w obcym mieście, bez środków; ale to tak, mój kochany: bogaty może sobie radzić – biedny musi.

– Ale co miał dla niej za obowiązki?

– Był przyjacielem Potkańskiego, ale to jeszcze mało, kochał ją podobno, nim została jego żoną, trzymał się jednak zdaleka, teraz już się z tem nie kryje.

– A ona?

– E! e! ona od czasu nieszczęść, jakie przeszła, wpadła w zupełne odrętwienie – po prostu zwaryowała. Ani wie, co się z nią dzieje, obojętna na wszystko, zresztą, zobaczysz ją dziś pewno, bo codziennie tu przychodzi.

– I w jakim celu?

– Mówię, waryatka. Wieść chodzi, że pierwszy raz poznała Potkańskiego w knajpie, owóz teraz nie wierzy podobno, że umarł i chodzi po całym świecie, zwyczajnie, jak waryatka! Istotnie, gdyby zmartwychwstał, a nie poszedł prosto do niej, pewnoby go tu, nie gdzieindziej, znalazła. Ha! może przypominamy jej Potkańskiego; u nich wielu młodzieży bywało.

– Że to jej Gustaw pozwala tu przychodzić?...

– Potkański-by nigdy na to nie pozwolił... ale Gustaw, ten jej niczego nie wzbroni.

– Jakże ona go traktuje?

– Jak stół, jak stołek, talerz lub kłębek nici. Zdaje się go nie widzieć, ale i nie unika, zawsze obojętna, apatyczna. Musi go to gryźć, ale to jego rzecz... A! ot, masz ją! ta, co wchodzi na prawo.

Gdy wdowa weszła, uciszyło się cokolwiek, wejście tej tajemniczej postaci zawsze robiło wrażenie. Wzrostu więcej niż średniego, szczupła, twarz miała pociągłą, jasno-blond włosy i ciemne oczy; ramiona jej i piersi, jakkolwiek szczupłe, miały okrągłą pełność form dziewczycych, czoło zaledwie dostrzegalne, w tył posunięte, wznosiło się smutno, poważnie, jakby marmurowe. Oczy głęboko pod czołem osadzone, jakby w cieniu, obrysowane były z góry jednym delikatnym łukiem brwi. Dziwne były jej oczy: koloru stali, świeciły jak stal polerowana, ale było to prawdziwe światło. Było to światło i nic więcej; pod owym blaskiem brakło ciepła i głębokości myśli. Moznaby rzec o

tych oczach: patrzą, ale nie widzą. Nie wytwarzały wyobrażenia przedmiotu, ale tylko odbijały go. Był w nich chłód nie do opisanania; dodajmy, że powieki ich nie mrużyły się prawie nigdy, a źrenice posiadały jakoby pewny ruch, niby śledczy, badawczy, poszukujący, a jednak mechaniczny.

Reszta twarzy wdowy odpowiadała oczom, usta były zagięte nieco ku dołowi, posągowe, a płeć jednostajna, matowa, blada, nosiła cokolwiek śniadawy odcień. Nie była ani śliczna, ani ładna, była tylko dokładnie piękna. To było w niej dziwne, że z twarzy zdawała się być zamarłą, a w całej postaci było coś takiego, co ciągnęło ku sobie niewypowiedziane męską stroną ludzkiej natury. Stanowiło to jednak wdzięk. Była do najwyższego stopnia posągiem, ale i do najwyższego stopnia kobietą. Ciągnęła i odpychała. Gustaw to czuł najlepiej. Trudno to było pogodzić z ową chłodną martwością, dlatego wrażenie, jakie budziła, zdawało się jakby nie od niej, jakoby obce dla niej.

Był to niby kwiat uśpiony; boleść ją tak uśpiła. Rzeczywiście ciosy, jakie wytrzymała, były uderzeniem niby obucha w głowę. Pamiętajmy, że na drodze tej kobiety krótkie chwile szczęścia kończyły dwie trumny. Jako dziewica, umiała kochać, ten, którego kochała, nie żył, jako żona i matka, porodziła dziecię, dziecię umarło. To, co dawało prawo, co było powodem i skutkiem jej życia, zniknęło. Odtąd przestała żyć, istniała tylko. Wyobraźmy sobie roślinę, którą podcięto z góry i z dołu – to była ona. Odarta z przeszłości i przyszłości, z początku nosiła w sobie mętne pojęcie bezczelnej krzywdy, którą jej wyrządzono. W pierwszej chwili bólu rzuciła – trudno wiedzieć komu – to bezdenne, jak otchłań, pytanie: dlaczego się to stało? Odpowiedź nie przyszła ani z błękitów, ani z ziemi, ani z pól, ani z lasów; krzywda została krzywda, słońce świeciło i ptaki śpiewały, jak dawniej. Potem to nieszczęsne serce ścisnęło się w sobie własnym bólem i zmartwiało. Odpowiedź nie przyszła, ale przyszedł obłęd, straciła wtedy wiarę w śmierć męża, sadziła, że, wzięwszy na ręce rozplakane dziecię, poszedł gdzieś, ale że wróci lada chwila. Tymczasem, zgoła niezdolna już do żadnej innej myśli, szukała go owym przykrym mechanicznym ruchem oczu. Chodziła do klubu, myśląc, że tam go znajdzie, gdzie go poznała. Na nieszczęście, nie umarła. Natychmiast znalazła się dzielna ręka, co ją usiłowała wyrwać z obłędu, i pierś, która chciała ją rozgrzać. Marne to było usiłowanie, ale przecież uratowało jej życie. Miłość Gustawa, oplotłszy ją, niby pajęczą nicią, ratunkiem i opieką, nie puszczała jej od ziemi. Jego głos wołał na nią: „zostań!” więc, choć nie było w niej nań echa, została jednak, ale bez świadomości o sobie, bierna, jakby rzecz, a nie istota ludzka.

Taką była wdowa.

Weszła do izby i jak kamienny posąg stanęła przy drzwiach w smętnym majestacie. W klubie było dymno i parno; w powietrzu drgały jeszcze ostatnie dźwięki piosenki trochę rozpustnej i rubasznej zarazem, a na owym nieczystym tle zakwitła wdowa, jak wodny kwiat na mętnej fali. Uciszyło się. Szanowano ją tam – w jej obecności nawet Augustynowicz stawał się znośnym; niektórzy pamiętali Potkańskiego, inni schylali głowy przed jej nieszczęściem, byli i tacy, co czcili w niej piękność! Zebranie przybrało tedy przyzwoitszy pozór.

Gustaw podsunął przybyłej krzesło i, zdjawszy z niej szal ciepły, odszedł w kąt do Szwarca, który zajęty i zdziwiony, zwracał na nią błyszczące oczy.

Gustaw począł rozmowę ze Szwarcem.

– To ona! – rzekł półgłosem.

– Rozumiem.

– Nie pokazuj jej się bardzo. Biedactwo! każda nowa twarz sprawia zawód, wciąż szuka męża.

– Dawno ją znasz?

– Drugi rok. Na ślubie Potkańskiego byłem świadkiem i drużbą (Gustaw uśmiechnął się gorzko). Po jego śmierci widuję ją codziennie.

– Mówił mi Wasilkiewicz, że dałeś jej pomoc i opiekę.

– Dałem, nie dałem; musiał się tem ktoś zająć, to ja się zająłem, ale taka też to i opieka. Rób, co chcesz, pracuj, lataj, zabiegaj – bieda i bieda! Ot, czasem rozpacz ogarnia.

– A rodzina?

– Jaka?

– Jego?

– Krzywdzą ją! – wołał gwałtownie Gustaw.

– Ale to bogaci ludzie podobno?

– Krzywdzą ją! Panki! nabożnisie! Jeszcześmy nie skończyli; długo popamiętają krzywdę tego gołębia. Słuchaj, Szwarz! żeby maleńkie dziecko z tego rodu prosiło mnie o kawałek chleba z głodu, tobym go wołał psu rzucić!

– Romanse!

– Szwarz, nie krzywdź mnie! Ja biedny człowiek słów nie marnuję; ale Potkański już w szpitalu, przed samą śmiercią oprzytomniał trochę i powiada: „Gustawie, zostawiam ci żonę, przyjmij ją.” Powiadam: „Biorę ją w opiekę.” On pyta: „Nie dasz jej głodu mrzeć?” Mówię: „Tak!” On znowu: „Nie daj, pomścij, jakby ją kto chciał krzywdzić”. Ja na to: „Jak mi Bóg i życie miłe, pomszczę!” Potem zgasł jak gromnica – ot, masz wszystko!

– Nie wszystko! nie wszystko, bracie!

– Mówił ci i resztę Wasilkiewicz. To dobrze! Powtórzę ci toż samo: Nie mam nikogo na świecie: ani ojca, ani matki, sam bieduję z dnia na dzień, a z życiem wiąże mnie (pokazał oczyma wdowę) ta jedna.

A tu mało świadomy jeszcze Szwarz miał sposobność ocenić to, co jest namiętność, gdy wzbierze w młodej piersi i ognia do krwi doleje. Ów suchy i skurczony Gustaw zdawał się w tej chwili nabierać sił i życia, zdawał się wyższym i mężniejszym, wstrząsnął włosami jak lew grzywą, na twarz wystąpił rumieniec.

– No, panowie! – zabrał głos Wasilkiewicz – godzina późna, a nie wszystkich czeka sen po wyjściu stąd. Jeszcze jedna nasza piosneczka, a potem, kto wola, dobra noc!

Siedzący przy fortepianie, o dziewiczej twarzy, młodzieniec wziął kilka znanych akordów; wkrótce zabrzmiała, z początku na kilka, potem na cały chorał młodych głosów rozłamana, miła młodzieży piosenka: „*Gaudeamus*”.

Szwarc zbliżył się więcej, niż inni, do fortepianu. Stał bokiem odwrócony do wdowy, pod światło, ale kinkiet, wiszący przy ścianie, obrzucał profil jego, jakby jedną ognistą linią. Za chwilę promienie oczu wdowy padły na ową linię, niespokojnie wiążąc ją z własnymi myślami; nagle podniosła się blada jak marmur, z gorączkowym światłem w oczach i, wyciągnąwszy ręce przed siebie, krzyknęła:

– Kazimierzu mój, znalazłam cię!

W głosie jej czuć było nadzieję, trwogę, radość i przebudzenie. Ucichło. Wszystkich oczy zwróciły się na Szwarca, i tych, którzy znali Potkańskiego, dreszcz przebiegł. W świetle i cieniu ta, wysoka, silna postać była jakby odbiciem postaci Potkańskiego.

– Nie spostrzegłem się – mrucał Gustaw, wracając o świcie do domu – hm! no, już jej przeszło, ale gorączka była!... Podobny jest w istocie... Niech to dyabli porwą!... A dusi mnie dziś w piersiach przeklęcie.

II

Szwarc długo się namyślał nad wyborem wydziału.

– Dałem sobie uczciwe słowo honoru, że się nie zmarnuję w życiu, dlatego myślę – mówił Wasilkiewiczowi.

A to już trzeba przyznać, że uniwersytet wabił go nie na żarty. Z różnych stron świata, jakby stada żorawi, ciągnęła tam młodzież. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili czerpać w spragnione głowy. Zabiegali tam ludzie wedle nauki, jak pszczoły wedle miodu; kupili się, rozpraszali i tłumnie chodzili; czerpali z nauki, czerpali z siebie, czerpali z życia; oddawali ją i odbierali napowrót; zamykali ją lub rozrzucali, szli naprzód, stawali, padali, zwyciężali i łamali się z nią; kąpiąc się w tem morzu, tonęli niektórzy, inni wypływali. Ruch, gwar – życie panowało niezmiernie. Uniwersytet był to niby wspólny macecznik, gdzie miały się zapładniać mózgi; coś nakształt wrzątku, kipiącego rozumem i młodością. Otwierał się co rok, wydając dojrzałe owoce, a przyjmując natomiast nowe szczepy. Ludzie rodzili się tam raz drugi. Pięknie było patrzeć, jak owa młodzież nakształt fal wodnych wylewała się stamtąd na świat corocznie, niosąc ciemnym światło, niby żywność glebie ludzkiej. Na takie to morze dostała się łódka życia Szwarca, gdzie miał zawinąć? Różne fakultety, niby porty, nęciły go. Gdzie się kierować? Długo namyślał się, wreszcie wpłynął.

Wybrał fakultet medyczny.

– Niech się co chce dzieje, muszę być i bogatym – powiedział, rozstrzygnąwszy kwestię wydziału.

A było tego wahania tyle dlatego, że Szwarca, jako otwartą głowę, niezmiernie obchodziły tajemnice nauki. Ciągnęła go i literatura i prawo, nauki przyrodnicze uważał za tryumf myśli ludzkiej. Co do tych nauk, opinię tę wyniósł jeszcze ze szkół. Był tam młody nauczyciel chemii, wielki entuzjasta, ten wychodzącym ze szkół uczniom swoim powiedział pewnego razu, położywszy rękę na sercu:

– Wierście mi, moi drodzy, że po za naukami przyrodniczymi istnieje tylko gadanina.

Wprawdzie i prefekt, kończąc rekolekcyje, zapewniał, że tylko nauka kościelna prowadzi człowieka do szczęśliwości wiekuistej, ale Szwarca, którego prefekt już wówczas nazywał „wszetczynym kaccerzem”, zrobił tak brzydki grymas, że z jednej strony wzbudził śmiech we wszystkich obecnych, z drugiej ściągnął słuszne po części gromy na swą głowę.

Wybrał tedy fakultet medyczny.

Zresztą podzielał nań w tym względzie Wasilkiewicz. Ten Wasilkiewicz, sam student, miał słusznie czy niesłusznie ogromny wpływ na młodzież. Zdarzyło się, że na pogawędce studenckiej jakiś gramatyk filolog z większą hipokryzją niżeli szczerością dowodził, że człowiek, który się odda nauce, powinien jej jednej poświęcić samego siebie, zapomnieć o świecie i szczęściu, a wcielić się w nią, być tylko jej wyrazem, zasadą, słowem. Więcej w tem dowodzenia było fałszywego zapachu i nadętości, niż prawdy.

– Mówiono – prawil mówca – że rybak islandzki zapatrzył się w blask zorzy północnej i nie bronił się prądom. Fale go niosły na głębie, a on z oczyma utkwionemi w zorzę stał cały czerwony w jej promieniach, aż wreszcie porwał go duch otchłani i zamknął pod szklaną falą, ale w oczach rybaka zostały odbite światła zorzy.

– Oto nauka, i życie! – mówił dalej – kto raz przed nią uchyli czoła, tego niech fale życia niosą, na jakie chcą, głębie, światło nam pozostanie.

Są zasady w świecie, których się nie uznaje, ale, by przeciw nim wystąpić, trzeba niemałego zapasu odwagi. Owóż między młodzieżą jeden i drugi milczał, tylko Wasilkiewicz sapał gniewnie i podnosił się na krzesło, wreszcie zerwał się i zaczął mówić:

– Tfu na próżne słowa! Niech Niemiec z taką nauką się żeni, nie my. U mnie nauka dla ludzi, nie ludzie dla niej. Niech Niemiec zmienia się w pergamin. Głupi był twój rybak; żeby był wiosem

robił, zorzę-by widział i ryb dzieciom przywiózł. A to co znowu? Toż ludziska i cierpią i głodem a zimnem przymierają, a ty będziesz się odrywał od świata i ciężarem mu będziesz, nie pomocą?

– Oj Tetwin, Tetwin! (tak się nazywał poprzedni mówca) patrz na znaczenie, nie na dźwięk słów swoich. Głupstwo łączyć umiecie z rozumem! Dziś ci się zdaje, że się wyrzekniesz szczęścia dla kilku wypłowiałych kartek. Nieprawda! Jak przyjdzie chwila, a zaboli cię pierś serdecznie, to zateśkniesz pocziwie do szczęścia i do kochania. Ot, u mnie, na przykład, na Żmujdzi, w chacie para staruszków: ojciec i mac, jakby gołąbki białe, a jedno drugiemu prawi o mnie mizernym takie rzeczy, jakby o królewiczu złotym. Cóżbym ja był wart, gdybym, zamknawszy się w książce, nie pomyślał o nich, a opuścił na stare lata? Pekby na mnie! Ot, przyszedłem tutaj i u nauki o nich i o siebie upomnę. I nie ja jeden. Każdy, kto rolę uprawia, ma prawo jeść chleb ze swojej roli. To raz! Nauka nauką, a uczony niech się nie odrywa od życia, niech mi nie będzie niedołągą... Uczony, uczony!... a kamizelki sam sobie zapiąć nie umie, dzieci nie chowa, o żonę nie dba. Czemu nie godzić praktyki życia z nauką? czemu jej nie wlać w życie i samej życiem nie ożywić?

Tak mówił Wasilkiewicz.

Powiedział i sapał.

Nie w tem rzecz, czy fałsz, czy prawdę powiedział; my dlatego przytoczyliśmy tę rozmowę, że Szwarz, z natury skłonny ku praktyce, wziął ja do serca, rozważał, myślał, dumał i obrał fakultet medyczny.

Niech co chce będzie, człowiek przynosi na świat pewne skłonności.

Szwarc z przyrodzenia był usposobienia realnego, jakoś więcej przystawał do rzeczy, niż do idei; nie lubił także wszelkiej dyalektyki. Daleko wolał widzieć przedmiot takim jak jest, aniżeli piękniejszym niż jest. Dwojaki jest ruch myśli w głowach ludzkich: jedne dążą wiecznie od środka, drugie przenoszą wszystko do środka; pierwsze wchodzą w rzeczy badane i ożywiają je, łącząc się z głównym źródłem zaledwie delikatną nitką świadomości – są to tak zwane zdolności twórcze; drugie chwytają niejako rzeczy, przenoszą do własnego źródła, łącząc je, pojmując dopiero tam, układając i porządkując – są to zdolności naukowe. Tamte wrodzone twórcom, te badaczom. Różnica między niemi taka, jak między rozrzutnikiem i sknerą, jak między oddychaniem a wdychaniem.

Trudno powiedzieć, które lepsze: jedne mają dar stwarzania, drugie odtwarzania, a nadewszystko przetwarzania. I w drugich jest niby coś czynnego – prawda, że i żołądek ma tę własność.

Doskonała równowaga między ruchem od środka i do środka jest genialnością. Naturalnie konieczną jest wtedy i szerokość ruchów.

Szwarc miał owe drugie zdolności – skupiające.

A nietylko je miał, ale i wiedział o tem; przeświadczenie to chroniło go w życiu od wielu niewłaściwości, nadawało pewną równowagę jego chęciom i siłom: nie przedsiębrał nic, co by dlań było niemożliwym.

Rachował się ze sobą.

A miał nakoniec wiele zapału, który w nim możnaby nazwać zaciętością w nauce. Umysł, który lubił na wszystko patrzeć trzeźwo, chciał widzieć wszystko trzeźwo, żeby zaś widzieć dobrze, trzeba wiedzieć dobrze. Nie umiał zgadywać, potrzebował znać.

To sprawiło, że nie uczył się nigdy przez połowę.

Jak pająk muchę, tak on przedmiot badany skwapliwie omotowywał siecią myśli, wciągał go w siebie, możnaby rzec, wsysał i przetrawiał.

Myśli jego miały przytem wysoką ruchliwość. Pożądał – naturalny wynik młodości.

Był samodzielny aż do zarozumiałości. Często odrzucał zdanie przyjęte ogólnie, właśnie dlatego, że miało za sobą powagę. Przyznać jednak należy, że wtedy starał się wynaleźć wszystko, co było *contra* – nie znalazłszy, ustępował. Miał przytem niemałą energię myśli i czynu.

Wszystko to stanowiło jego siły, jego broń, poczęści zdobytą już, po części wrodzoną. Zapomnieliśmy dodać, że posiadał jeszcze dwa tysiące rubli.

Zrachowawszy owe zasoby, wziął się do medycyny. Ale im z większym zapałem wziął się do niej, tem więcej rozczarował się z początku. On lubił wiedzieć, a tam trzeba było pamiętać... To lada kto potrafi, przynajmniej jest to kwestya pamięci i woli, nie zaś rozumu. Należało mieć pamięć oczu, pamięć ręki, trzeba było jedno i drugie i dziesiąte włożyć sobie surowo do głowy, umieścić od czasu do czasu jak zboże w śpichlerzach. Była to praca niemal rzemieślnicza, organizm umysłowy nie korzystał z tych zapasów, bo się nie przetrwał, ani przerabiał. Brakło tam pożywności. Filozofia fizycznego ustroju organizmów może dorównać subtelnością i ogromem rezultatów wszystkim innym, ale Szwarz zaczął dopiero poznawać sam organizm; wskazówek, czy istnieje jakaś filozofia tych nauk, nie dano mu dotychczas żadnych.

Wziąwszy się raz, trzeba było brnąć dalej.

Brnął.

A techniczna strona zajęć naukowych była przykra, niewdzięczna, pełna utajonych trudności, niespodziewanych tajemnic, nieraz ciemna, często ledwo dojrzana, najczęściej wstrętne, zawsze pracowita.

Rzekłbyś, że tu natura wypowiadała wojnę umysłowi ludzkiemu.

Szwarc łamał się z trudnościami i szedł dalej.

Owa technika miała jeszcze jedną stronę smutną w oczach Szwarca: źle wpływała moralnie.

Odkrywała koniec życia, nie wskazując, czy istnieje ciąg dalszy. Zdejmoano tam bez najmniejszego wahania zasłonę ze śmierci. Cała ohyda tej podziemnej robotnicy ukazywała się tam z nagą bezczelnością. To, co było umarłego, było zarazem cyniczną obietnicą dla żywych. Śmierć przy jasnym dniu zdawała się mówić: do widzenia w ciemnościach! Była niby zapowiedzią, noszącą w sobie desperackie wskazówki bezsilności człowieka wobec tej siły nieubłaganej, złośliwej, bezczelnej i obmierzej zarazem. Ta właśnie siła budziła w młodych umysłach gwałtowną reakcję.

Reakcja ta objawiała się tak:

– Nie traćmy czasu, używajmy życia, bo, prędzej czy później, wszystko dyabli wezmą!

Przy tych zajęciach delikatność uczucia zacierała się stopniowo; obojętność wyradzała się w brutalność, ambicya w zawiść, miłość przechodziła w namiętność, namiętność w popęd. Miłość była jak słońce widziane przez zakopcone szkło; czujesz ciepło, ale nie widzisz światła.

Szwarc bronił się tym wrażeniami, otrząsał się z nich, odrzucał je i szedł dalej.

Nakoniec należało być wiernym naukowej zasadzie. Kto ma zaufanie do jednej drogi, nie ma go do drugiej; ta, którą obrał, wydaje mu się najlepszą. W tej, którą Szwarz obrał, wszystko od czasów Hipokrata opierało się na doświadczeniu.

Wzrok, słuch, smak, powonienie i dotykanie – oto jedyne kryteria, na których opiera się ta już dziś wielka budowa.

Tak wierzy zwłaszcza młodzież, jako skrajniejsza we wszystkim od starszych. Co przeszło w naukę inną, niedoświadczalną drogą – było wątpliwem. Każdy, według własnych pojęć, sądzi pojęcia innych. Przypuszczenie czegoś stojącego po za empiryą, a jednak prawdziwego, przez takie szkła wydaje się lekkomyślnością. Istnieją tylko rzeczy już zbadane. Ogniwa przyczyn i skutków są koniecznością lub myślą, ale dopiero w człowieku; historia – kroniką mniej więcej skandaliczną; prawo – opartem na doświadczeniu *modus vivendi* społeczeństw; spekulacja – chorobą umysłową.

Szwarc nie bronił się tym myślom, bo mu nie przeszkadzały iść dalej.

Zresztą pracował.

III

Upłynął miesiąc. Wieczór był jesienny, pogodny; słońce zwolna gasło na wieżach kijowskich i na dalekich mogiłach stepowych. Na strychu w mieszkaniu Szwarca i Gustawa widno było jeszcze. Obaj, schyleni nad pracą, siedzieli w milczeniu, chwytając skwapliwie ostatnie blaski wieczoru. Gustaw niedawno powrócił z miasta; był blady i zmęczony, sapał więcej niż zwykle, na twarzy znać było jakąś niespokojność, gorycz, a nawet ból niby tajony, a jednak widoczny w gorączce oczu. Milczeli obaj, widać jednak było, iż Gustaw chciał przerwać to milczenie, bo nieraz zwracał się do Szwarca, ale jakby z trudnością przychodziło mu wymówić pierwsze słowo, znów zatapiał się w książce. Wreszcie widoczna niecierpliwość wybiła mu na twarz, porwał czapkę ze stołu, wstał i spytał:

– Która godzina?

– Szósta.

– Dlaczego nie wybierasz się do Potkańskiej? Przecież tam do niej codzień chodzisz.

– Szwarz wstał i zwrócił się ku Gustawowi.

– Gustawie, sam i na własne jej żądanie zaprowadziłeś mnie do niej. Mniejsza o to, nie chcę mówić o tem, co dla nas obu byłoby przykre; zresztą, rozumiemy się doskonale. Otóż nie pójdę do Potkańskiej ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Masz na to moje słowo i moją rękę.

Stali więc w milczeniu, Szwarz z wyciągniętą naprzód ręką, Gustaw, wahający się i zmieszany drażliwym położeniem, wreszcie ścisnął za rękę Szwarca.

Widocznie słowa obu przychodziły z trudnością; jeden nie umiał zdobyć się na serdeczniejsze wyrazy, drugi na serdeczniejsze podziękowanie.

Za chwilę rozstali się.

Dziwne to nieraz bywają uczucia, a sprzeczne z tem, co nam przedstawiają jako nagrodę szlachetnego czynu. Szwarz przyrzekł Gustawowi nie widywać wdowy. Czy ją kochał, czy nie, zawsze to była z jego strony ofiara, bo w jego mozolnem, a jednostajnem życiu, ona była jedynym jaśniejszym punktem, około którego lubił krążyć myślą. Niechby marzenie o niej było tylko wypełnieniem owych chwil oderwanych od ciężkiej pracy, a poświęconych na spoczynek i swobodę umysłu; rzekać się takich chwil, było odbierać powab odpoczynkowi, było to wyrwać próżnicę w życiu, tam, gdzie uczucie mogło kielkować i zakwitnąć.

Szwarc po krótkim namyśle zrobił to bez wahania.

Zrobił ofiarę.

A jednak, kiedy Gustaw wyszedł ze stancyi, na twarz Szwarca wybił wyraz niechęci, niesmaku, gniewu nawet. Byłże to żal przeszłości lub spełnionego przed chwilą czynu?

Nie.

Kiedy Szwarz wyciągnął rękę do Gustawa, ten ostatni wahał się z jej przyjęciem. Nie przyjmując ofiary, dawanej przez duszę energiczną, jest to okryć sam czyn ofiarny odcieniem śmieszności i to w przekonaniu samego ofiarodawcy; jest to być niewdzięcznym; jest to rzucić ziarno głuchej nienawiści w bujną niwę miłości własnej.

Ale przyjmując ofiarę współzawodnika, to dla duszy bogatej w dumę jest podłożyć swoje „ja” moralne pod czyjeś nogi, to przyjmując gwałtem wtykane groszaki jałmużny w rękę, co się po nic nie wyciągała. Ma to coś z lekkiego kopnięcia. Duma woli być wierzycielem niż dłużnikiem.

Dlatego Gustaw, wyszedłszy na ulicę, skrzywił usta gorzką ironią, a przez zaciśnięto wargi mruzczał do siebie zcicha:

– Coraz to lepiej! Łaska, łaska! Kłaniaj się teraz codzień panu Szwarzowi i dziękuj za łaskę. Wesole życie!

I zadumał się głęboko, a przykro. Przestał nawet myśleć o sobie, marzył tylko boleśnie. Czuł w duszy jakiś odgłos smutny, a gwałtem dopominający się choćby jednej chwili szczęścia. Głos ten dźwięczał w nim, jak urwana struna. Rozdzieliła się myśl i dusza. Jedna połowa zmęczona

wołała na gwałt spoczynku, druga ponura a sprężysta rwała się jeszcze do życia. Jedną połową myśli widział światło i cel, drugą połowę zwracał chmurnie w nicość i ciemność. A było jeszcze na dobitkę coś takiego w tym zgryźliwym człowieku, co drwiło z własnego bólu; niby jakiś demon złośliwy wskazywał mu jedną ręką postać jego własną, bladą, brzydką, skurczoną, drugą niby w obłokach, niby w świetle poranku Potkańską w całej jej przepysznej piękności i marmurowym spokoju.

Gdy tak rozrywany gwarem wewnętrznej walki szedł, sam prawie nie wiedząc dokąd, nagle usłyszał za sobą dobrze znany głos, śpiewający basem wesołą piosnkę:

Hop! hop! hop! hop!
I podkówka tego kuta i t. d.

Obejrzał się – był to Wasilkiewicz z Augustynowiczem.

– Dokąd idziesz, Gustawie? – spytał pierwszy.

– Ja?... ha! dokąd? – (spojrzał na zegarek). Do wdowy jeszcze zawczasie!... Tymczasem idę do klubu.

– No, to idź prosto do wdowy.

– Co? dlaczego?

– Biada ci! – zawołał Augustynowicz, wzniosłszy ręce do nieba i nie zważając na przechodniów, zaczął głośno deklamować:

Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje,
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

– Nie masz po co chodzić do klubu – dorzucił Wasilkiewicz.

– Cóż się stało?

– Smutek tam lęgnie się ze zgrozą – prawić Augustynowicz.

– No gadajże, co się stało?

– Nieszczęście!

– Jakie?

– Okropne!

– Wasilkiewicz, powiedz za niego po ludzku!

– Władza uniwersytecka zamknęła nasz klub. Ktoś doniósł, że się tam studenci zbierają.

– O której się to stało?

– Dwie godziny temu.

– Trzeba się iść dowiedzieć na miejscu.

– Nie radzę ci. Wsadzą do kozy.

– „Białe ci dłonie skrepują powrozem...”

– Augustynowicz, cicho bądź! Dlaczegoż tego nie zrobili wieczorem? Byliby nas połapali, jak ryby w matni.

– No, chodziło więcej o zamknięcie, niż o połapanie nas; gdyby jednak ktoś teraz przyszedł, złapaliby go niezawodnie.

– Dokąd wy idziecie?

– „Jak na hasło trwogi, klany szlą krzyż ognisty...”

– Prosiłem cię, żebyś był cicho!...

– „Tak mężny Rodryg...”

– Tak, tak – przerwał Wasilkiewicz – idziemy ostrzedz innych, i dlatego bądź zdrów, albo chodź z nami...

- Nie mogę.
- Dokąd idziesz?
- Do Potkańskiej.
- Bądź zdrów!
- Do widzenia!

Gustaw, zostawszy sam, zatarł ręce; na chwilę uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego chmurną twarz. Cieszył się z zamknięcia klubu, zniknęła bowiem obawa, że wdowa, dowiedziawszy się o postanowieniu Szwarca, może znów zechce chodzić do klubu, by go tam widywać. Obawa była uzasadniona: Gustaw pamiętał, że mimo próśb i perswazyi, zaledwo tylko obietnicą przyprowadzenia Szwarca do jej mieszkania, mógł ją powstrzymać od tego niestosownego kroku.

Teraz nie miał się już czego obawiać.

Za chwilę pociągnął dzwonek w mieszkaniu wdowy.

– Jak się pani miewa? – spytał służącej.

– Zdrowa, tylko chodzi po pokoju i gada do siebie – odrzekła służąca.

Gustaw wszedł do pokoju.

Mieszkanie wdowy obejmowało dwa pokoiki z oknami, wychodzącymi na ogród: pierwszy był niby salonikiem, drugi sypialnią, do której teraz wszedł Gustaw. W sypialni wierzchnia część okna, łukowato wycięta i oddzielona wąską listwą drewnianą, miała kolorowe szyby, ułożone w rozetę niebieską i czerwoną naprzemian. W jednym kącie stał stolik mahoniowy, okryty miętko strzyżoną aksamitną serwetą, na którym były dwa fotografowane portrety. Jeden w drewnianych, inkrustowanych ramach przedstawiał młodego człowieka, o wysokim czole, blond włosach i pięknych, arystokratycznych rysach twarzy – to był Potkański; na drugim była wdowa z maleńką, białą ubraną, dziewczynką na kolanach. Przed portretami leżał wianek z nieśmiertelników, obwinięty krepą i gałązka suchego mirtu.

W drugim końcu pokoju, między dwoma łózkami, przedzielonemi wązkim odstępem, mieściła się kolebka, dziś – pusta, niegdyś – pełna szczebiotu i gwaru dziecinnego. Zielona jej powłoczka, umalowana od szyb kolorowem światłem, zdawała się poruszać lekko. Można było mniemać, że lada chwila odsunie ją bieluchna rączka i radosna główka dziecięcia wejrzy na matkę. Cichy smutek panował w atmosferze tego pokoiku. Liście wglądającej przez okno, akacyi rysowały się ciemno na podłodze, a poruszane wiatrem ustępowały migotliwie światłu i wracały napowrót. Przy drzwiach była mała statuetka z kropielnicą, pod spodem przedstawiająca anioła chrztu z wyciągniętymi, jakby do błogosławieństwa, rękoma. W chwili, o której mówimy, głowa anioła w blaskach kolorowych jaśniała, jakby łagodną glorią słodyczy, niewinności i spokoju. Zresztą cichość była w pokoikach wielka. Ile dziś smutku, tyle tam dawniej było wesela. Cóż to za radość i szczebiotanie bywało, gdy Potkański, przyszedłszy wieczorem, zmęczony pracą, obejmował kibić żony, odgarniał jej złote włosy i całował to ukochane a pogodne naówczas czoło! Ile było cichej a głębokiej radości, kiedy stali tak milczący, z piersią na piersiach, z oczyma w oczach, podobni do posągu miłości. Potem, bywało, biegli do kolebki, gdzie dziecina gwarzyła na różne sposoby z sobą i, podnosząc nóżki, śmiała się do szczęśliwych rodziców. Teraz tam było pusto. Dziwnie była rozrzewniającą ta kolebka. Zdawało się, że tam jest dziecię. Nieraz wdowa, wkrótce po swoim nieszczęściu, budząc się w nocy, kładła ostrożnie rękę w tę kolebkę, w przekonaniu, że Bóg musiał zlitować się nad nią i, wyjąwszy dziecię z grobu, włożył je tam napowrót.

Słowem, dużo widziały te ściany: radość kołysaną szczęściem pogodnej miłości, potem rozpacz, lzy wielkie jak perły, wreszcie smutek cichy, martwy, uporny, obłądny.

Taka była i takie budziła myśli sypialnia wdowy. Salonik, jak wszystkie na świecie, miał niby trochę elegancyi, dużo pustki. I tam zdawały się błądzić echa chwil przeszłych: był widny, czysty, ale pospolicity. Przytykało do niego mieszkanie służącej, mała, ciemna alkowa z wyjściem na schody, z przepierzeniem drewnianem. Było to dawne mieszkanie Potkańskiego. Po jego śmierci trudno było zrozumieć, skąd wystarczały fundusze na taką siedzibę, to jednak należało do Gustawa, on sam

wiedział, co robił. Pretensyi ze strony właściciela nie było żadnych – jak zaś to tam się robiło, potem powiemy.

Ile razy Gustaw wchodził do owego pokoiku, drżał.

W miejscu, gdzie jej było pełno wszędzie, gdzie wszystko, co nie było nią, było dla niej, uczuwał zawsze rodzaj ciężaru na piersiach; niby jakaś ręka wgniatała mu serce głębiej. Ciśnienie to jednak było rozkoszne. Było to zbieranie się w sobie piersi, jakby dla uchwycenia tem więcej powietrza. Być ugniecionym dłonią poczucia szczęścia, to prawie być szczęśliwym; tylko że po za tem leży cały bezbrzeżny obszar pragnienia. Rozlewa się wtedy ono na całego człowieka, wchodzi w krew, objawia się w drzeniu słów, w blasku źrenic. Pragnienie owo samo nie wie czego żąda. Między „za mało” i „za dużo” niemasz tam granicy. Jest to wstydlive żądanie wszystkiego. Bywa wtedy człowiek śmielszy na zewnątrz, niż na wewnątrz; przerażają go własne słowa; zdaje mu się, że ktoś inny mówi, streszcza się w spojrzeniu, chce się roześmiać spazmatycznie, albo wybuchnąć. Kocha, czci, ubóstwia kobietę jak anioła, a anioła pragnie jako kobiety.

Tego doświadczał Gustaw, gdy wchodził do pokoiku wdowy. Wszystkie rodzaje pragnień, jakie duch i krew razem wytworzyć mogą, nalatywały wtedy nań zewsząd, niby stada ptactwa.

Ona stała przed nim.

Wyglądała blado, na policzkach jej przebijał się lekki ślad rumieńca, lub może odbłask wieczoru. Delikatny jej profil rysował się milcząco, jak sylwetka na tle okna. Trzymała w ręku grzebień i, stojąc przed małym zwierciadłem srebrnym, czesała włosy. Przepyszne rozpuszczone sploty wiły się, niby fale, koło jej bladego czoła. Złoto owo spływało po jej piersiach i plecach, zdawało się kapać, jak rozpuszczony bursztyn.

Spostrzegłszy Gustawa, powitała go dłonią i ledwo dostrzeżonym uśmiechem.

Wdowa już wyszła z dawnej swej skamieniałości. Nagłe a gwałtowne wstrząśnienie, jakie widok Szwarca na niej wywołał, ocuciło ją. Poczęła myśleć. Jednej tylko rzeczy nie mogła z początku rozwiązać: postać Szwarca tak w jej umyśle plątała się z postacią Potkańskiego, że sama nie wiedziała, czy mąż jej dawny nazywał się Szwarz czy Potkański. Były to resztki obłędu. Ale wkrótce wrócił promień światła w ów pokryty ciemnią umysł. Prosiła Gustawa, by mogła widywać Szwarca; Gustaw, lubo z niechęcią, zgodził się na to. Z tęsknotą wyczekiwała wieczoru, kiedy mogła oglądać to dawne wspomnienie szczęścia. Nie Szwarca, ale owego wspomnienia w nim szukała. Był jednak dla niej koniecznym.

Zwolna też i bardzo nieznacznie przeszłość zmieniała się na terażniejszość, marzenie na rzeczywistość. Szwarz, spostrzegłszy to, przyrzekł Gustawowi nie bywać; przygotować i oznajmić tę wieść Helenie należało do Gustawa.

Łatwo było przewidzieć, jakie wrażenie musiało to na niej wyrzucić. Klasnęła w dłonie i odrzuciła w tył głowę. Potok włosów z szelestem okrył jej plecy.

– Gdzie ja go zobaczę? – pytała natarczywie Gustawa.

Ten milczał.

– Ja muszę go widzieć, tu czy gdziekolwiek. On tak podobny do Kazimierza... Boże mój! Ja cała żyję... tem wspomnieniem. Panie Gustawie...

Gustaw milczał.

Oburzał go niemal ten ślepy egoizm wdowy. Dramat poczynał się w nim rozgrywać na nowo. Ona go prosiła, by zrobił wszystko dla podkopania własnego szczęścia! Nie, na to trzeba być głupcem! Ale znowu – to ona prosiła. Przyciął wargi do krwi i milczał. Przecież i jemu należy się coś od życia. Wszystko, co w nim składało człowieka, opierało się jej prośbom z rozpaczliwą energią – ona tymczasem nagliła:

– Panie Gustawie, pan potrafisz to zrobić, żebym ja go widziała. Ja go chcę widzieć! Dlaczego mi wyrządzasz taką krzywdę?

Gustawowi pot zimny okrył czoło, przeciągnął ręce po twarzy i ponurym głosem odpowiedział:

– Ja pani nie krzywdzę... ale... – tu głos mu zadrżał, Gustaw zrobił wysilenie, żeby jej nie paść do nóg i nie krzyknąć: „ale kocham ciebie! nie dręcz mnie!” – ale... on tu nie zechce przyjść – kończył zaledwie dosłyszalnie.

Dużoby dał, gdyby mógł uniknąć tej chwili.

Helena zakryła twarz rękoma i padła na fotel.

Milczenie panowało znów przez chwilę i słychać było szmer liści za oknem... a tu dusza człowieka wiała się w walce z sobą. Sprowadzać Szwarca po to, by mu odebrał Helenę, było to dla Gustawa już wyuzdanie nieszczęścia.

Ale walka krótko trwała: ukląkł przy Potkańskiej i, cisnąc jej rękę do ust, mówił przerywanym głosem:

– Zrobię, co będę mógł... Przyjdzie tu!... Co komu do mnie?... Przyjdzie, ale nie mogę powiedzieć kiedy... ja go sam przyprowadzę...

Wkrótce potem, wychodząc z mieszkania wdowy, mruczał przez zaciśnięte zęby:

– Tak... przyjdzie! ale nie ja go przyprowadzę... przyjdzie... za miesiąc... za dwa... Za miesiąc może już będę spokojny.

Napad kaszlu przerwał mu dalsze rozmyślenia. Długi czas błąkał się jeszcze po ulicach, kiedy wrócił do domu, na wieży kościelnej wybiła druga.

Szwarc już spał. Oddychał równo, spokojnie... Światło lampy padało mu na wyniosłe czoło i odkryte piersi... Gustaw wpatrzył się w owe piersi gorączkowo.

Oczy błyszczały mu nienawiścią.

Przesiedział tak z godzinę, nagle drgnął...

Oprzytomniał.

Budziło się w nim uczucie zupełnie sprzeczne z tem, czego doświadczał dotychczas. Uczuł, że był głodny. Przeszedł więc ku półkom, na których leżały książki i, wydobywszy z nich kawał razowego chleba, począł go jeść skwapliwie.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach.

IV

Nadchodziła jesień. Zimno było po mieszkaniach biedniejszych studentów. Jaki taki, owinąwszy się kołdrą i włożywszy czapkę na głowę, rozgrzewał się książką. Mieszkania studentów, którzy mieli za co palić w piecu, roiły się mnóstwem kolegów. Do klubu nie schodzono się więcej. Były z początku usiłowania, żeby obrać i sformować jakiś inny, ale spełzło to na niczem, bo z jednej strony Gustaw, z drugiej – Szwarz, który miał już znaczny wpływ na studentów, opierali się temu zgodnie. Szczególniej Szwarz, który uważał, że kluby dużo zabierają czasu, a mało pożytku przynoszą, chciał zaprowadzić reformę w tym względzie i udało mu się nakoniec. Mimo wszelkich głosów przeciwnych bronił tej myśli w uniwersytecie, a szczególnie w mieszkaniu Wasilkiewicza, gdzie schodzono się ochotniej niż gdzieindziej. Wasilkiewicz mieszkał u Karwowskiego, a raczej ten ostatni u Wasilkiewicza, bo jakkolwiek Karwowski majątny bardzo (był to ów błady młodzieniec, który grywał kolegom w klubie), opłacał daleko znacznie większą część mieszkania, duszą jednak i osiłą owego kawalerskiego gospodarstwa był nasz żmujdzin.

Godna była podziwu, a nawet zazdrości, przyjaźń między tymi dwoma młodymi ludźmi. Jeden delikatny, pieszczony, piękny, z głową pełną najszlachetniejszych marzeń, łagodny i lubiony od wszystkich, płynął lekko przez życie wśród wygod i dostatków; – drugi, prawdziwy litwin, brzydki, dziobaty, z krótko strzyżoną czupryną i iskrzącymi oczyma, żywy, pracowity, energiczny, a głęboko wykształcony, był dla pierwszego jakby opiekunem lub starszym bratem. Wasilkiewicz posiadał serce gorące i, jak to mówią, niby na dłoni. Gdy raz Karwowski zachorował niebezpiecznie, pilnował go dniem i nocą z prawdziwie bezprzykładnym zaparciem się siebie, a gdy wreszcie wyzdrowiał – litwin płakał i wymyślał mu z radości.

– Ach ty, błażnie! – mówił – jemu to zachciało się chorować! Spróbuj-no tylko jeszcze raz to zrobić!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.